



Stanisław Barańczak

Poezja nonsensu a życie codzienne:
wprowadzenie w prywatną teorię gatunków



Pegaz zdębiał

Stanisław Barańczak

Pegaz zdębiał

**Poezja nonsensu a życie codzienne:
wprowadzenie w prywatną teorię gatunków**



Poeta oburęczny, czyli przypadek Stanisława Barańczaka

Już dzieckiem będąc, lubił się bawić słowami, smakować wyrazy, układać szarady, tworzyć kalambury, rozwiązywać krzyżówki, no i rymować. Nauczył się czytać jako pięciolatek i później robił to nałogowo. Jak nie miał pod ręką książki, czytał, co popadnie: szyldy, hasła, reklamy, obwieszczenia, ogłoszenia, plakaty, foldery itd., itp.

W tych szkolnych latach miałem jedno w głowie:

nie chemię ani, Boże broń, trygonometrię,
nauki, jak twierdziłem, zbędne mi kompletnie,

lecz słowa, ich kontury, konszachty, koneksje –

Oto mały Staś przychodzi do szpitalnej przychodni, bo umówił się tam z matką lekarką, a że ta jakoś się nie pojawia, siada pod plakatem TĘP DUR i czeka, czeka. Z nudów wpatruje się w hasła i napisy, zaczyna je przetwarzać: ODDZIAŁ PEDIATRYCZNY na ODDZIAŁ PEDANTYCZNY, a następnie DZIAŁ ANTYCZNY. Skąd wiem, że tak to wyglądało? Z cytowanego wyżej wiersza, który dalej idzie tak:

Moją pasją
było wtedy *wydrapy-* lub *wymazywactwo*,

w którym mózg, w funkcji gąbki albo gumki-myszkii,
ścierając jedną z liter, zmienia sensy wszystkim

słowom z reklam sklepików, fasad komitetów –
tak w każdym razie dzieje się w przypadku F.LETÓW

ŚLEDZIOWYCH albo w WALC. O LEPSZE JUTRO
wiodącej Naród Partii.

(Hemofilia)

W tych szkolnych latach nie przepuścił żadnej okazji, by przyłapać słowo czy frazę w jakimś nieoczywistym kontekście. Bawiło go nawet odczytywanie napisów z lukru na wyrobach cukierniczych wystawionych w witrynie mijanej w drodze do i ze szkoły słynnej w Poznaniu cukierni Knasta.

...ja dziewięcioletni. Cukiernia od frontu
i wewnątrz nie zdradzała, że trwa tutaj sroga
walka klas, ucisk mas przez macki wielkich fortun:
lada, stolik, krzeselko. Ale za to rogal

na świętego Marcina! albo smak mazurków
wielkanocnych, z ich lepkiem migdałowym fryzem,
Szarą Granią chroniącą Różowy Staw lukru,
za dopłatą – z napisem, lub wręcz aforyzmem
(lukrem czekoladowym), od prostych („Helence”)
do dłuższych, takich, w których frezer albo fryzjer
miał słyszeć chór najbliższych: „Kaziu, nie pij więcej”...

(Od Knasta)

Tak, późniejsze arcydokonania Barańczaka na niwie poezji purnonsensowej swoje korzenie musiały mieć tam właśnie, w czasach dzieciństwa. Z dziecięcą uciechą będzie się potem przez całe życie oddawał różnymi grom i zabawom słowami.

Pierwszy w życiu limeryk napisał jako dziewiętnastolatek, w 1965 roku, trochę tylko później niż pierwszy poważny wiersz. Zadeedykował go Julianowi Tuwimowi.

Pewien filolog z Chocimia
Zamiast Tuwima – „Tuwimia”

Mawiał, zgorszonej młodzieży
Tłumacząc, że tak należy,
Bo Tuwim nie „m”, ale „m” miał!

Przez resztę życia kontynuował układanie limeryków. I często używał – tak mistrzowsko praktykowanych przez Tuwima – rymów łamanych*.

Spytałam kiedyś Barańczaka o wybór tej akurat tradycji limerykowania: dlaczego Tuwim, a nie Gałczyński?

„Zabawna rzecz – odpisał – ale choć Gałczyńskiego od lat szczenięcych znam na pamięć, jakoś nigdy nie zapamiętałem żadnego jego limeryku. Widocznie nie utkwily” (19 XI 1997).

Za to limeryki Tuwima – owszem, utkwily. Ta książka, którą Czytelniku trzymasz w ręku, to hołd złożony Tuwimowi właśnie („to klasyk i wzór, choć limeryków napisał niewiele”). Jego *Pegaz dęba* i *Jarmark rymów* towarzyszyły Barańczakowi od dzieciństwa.

Blisko cztery dekady od limerykowego debiutu Barańczak raz jeszcze poświęcił Tuwimowi wiersz. Tym razem odwołał się do niego jako autora *Jambów politycznych* i zadedykował mu *Haiku polityczne* (tu tylko zajawka, temat *Haiku* jeszcze wróci).

Takie były zabawy w one lata

W odautorskim wstępie do pierwszego wydania tej książki Barańczak deklaruje, że ceni sobie, kiedy „poeta, nie rezygnując

* Rym przypada w środku wyrazu, jak w kultowym limeryku Tuwima: Pragnąc kurczęcia pewien burmistrz/Przypuszczał do kucharki szturm i strz-/-elił jej w brzuch. Ta/odrzekła kuchta:/- Gdy kurcząć chcesz, to się do kur mizdrz.

z pisania – żeby tak rzec, jedną ręką – utworów poważnych, nawet katastroficznych, jednocześnie ręką drugą pisze utwory reprezentujące dziedzinę poezji niepoważnej”. I wprowadza termin „poeta oburęczny”, który odnosi zresztą również i do samego siebie. Ale ja powiem więcej, dla mnie Barańczak jest nie tylko poetą oburęcznym, on jest wręcz PRAWORĘCZNYM MAŃKUTEM.

Początkowo uprawianie niepoważnej poezji było dla niego terenem działań całkowicie prywatnych. Ot, chciał zabić nudę jakiegoś dłużącego się zebrania, rozbawić adresata pocztówką z wakacji, zaimprovizować coś w towarzystwie i stać się towarzystwa duszą. Swoją przyszlą żonę Annę, koleżankę ze studiów na poznańskiej polonistyce, podrywał właśnie za pomocą absurdalnych wierszyków swego autorstwa. „Jeśli w sali na II piętrze dawnego Collegium Philosophicum przy Matejki stoi ciągle pewien stół, to na jego zielonym blacie powinien jeszcze dać się odczytać zapisany długopisem tekst parodii poezji młodopolskiej zaczynającej się od słów »Rododendrony porywiste«” – wspominał w rozmowie z Przemysławem Czaplińskim, Piotrem Śliwińskim i Krzysztofem Trybusiem*. Ale zdaniem Anny Barańczak *Rododendrony* powstały na zielonym blacie w czytelni biblioteki uniwersyteckiej przy Ratajczaka. „Piękna, pruska budowla z piękną czytelnią – wspominała mi. – Siedzieliśmy pod oknem. Miałam sukienkę bez rękawów białą w granatowe groszki. Nie mogę uwierzyć, że Staś zapomniał, gdzie ten wierszyk się narodził”.

Po studiach Barańczak trafił do Katedry Teorii Literatury na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza prowadzonej

* „Z trzech stron barykady”, „Dziennik Poznański”, 13 i 27 grudnia 1991 roku.

przez prof. Jerzego Ziomka. Tam na comiesięcznych zebraniach, zwanych „posiadami”, odbywała się istna orgia gier i zabaw literackich.

– Oj, dobrze się bawiliśmy w tych ponurych czasach – z rozrzewnieniem wspominają wczorajsi młodszy pracownicy naukowcy, dzisiejsi profesorowie:

– Po latach z *Pegaza zdębiał* dowiedzieliśmy się, czym tak naprawdę zajmował się Barańczak na naszych zebraniach: układaniem anagramów z liter swojego nazwiska*.

– Staszek to typ z cicha pęk. Nigdy nie był prowodyrem zabaw, zawsze jednak się dołączał.

– Dla rozgrzewki zaczynaliśmy zebranie półsłówkami, później przechodziliśmy do układania dwuwierszy, by dojść do form bardziej wymagających, jak: parodie, pastisze, trawestacje.

– Specjalizował się w grze półsłówek. Pamiętam, trwał akurat Wyścig Pokoju i Staszek wymyślił PIKUJĄCĄ SZOZDĘ.

– Pisaliśmy np. na nowo *Kordiana* w wersji dla dzieci. Początek szedł tak: „Panicz Kordian siadł pod gruszką/i przestrzelił sobie uszko”.

* Zabawa w anagramowanie polega na takim przestawianiu liter w słowie, by tworzyć słowa nowe. Uprawiana była już przez starożytnych Greków, rozpowszechniona w odrodzeniu, umiłowana przez angielskich mistrzów poezji nonsensownej (Lewis Carroll, autor *Alicji w krainie czarów*, ułożył ich setki) i matematyków (bawił się w ich układanie sam wielki Fermat), dotrwała do dziś. O jej żywotności niech świadczy fakt, że pomogła ona porucznikowi Colombo z kultowego serialu kryminalnego wydedukować, kto zabił.

W anagramowaniu często bierze się na warsztat imiona i nazwiska. Barańczak bardzo wysoko zawiesił sobie poprzeczkę. Otóż opatrywał on często swoje anagramy rymowanym komentarzem, a przekształcając twórczo nazwiska, dopuszczał tytuły naukowe, przydomki, pseudonimy. Koronkowa robotą. Proszę mi wierzyć – tego nie ma nigdzie na świecie, w żadnym języku.

– Uważam, że to na tych zebraniach Staszek Barańczak wyćwiczył sobie perfekcję rymowania.

– Kiedy nasze wytwory docierały do prezydium, do Jerzego Ziomka – opowiadał mi profesor Edward Balcerzan z UAM – ten najpierw się wzdrygał zdenerwowany, że nikt nie słucha referatu, a potem widać było, jak duch zabawy zwycięża. Zastanawiał się przez chwilę, sam coś dopisywał i przekazywał dalej.

Prawdziwym forum gier i zabaw były konferencje teoretycznoliterackie organizowane przez Instytut Badań Literackich PAN. Miały charakter wyjazdowy, klasztorno-zamknięty, co od razu wytwarzało właściwą atmosferę twórczą. Karteczki z wierszykami zaczynały krążyć już podczas pierwszego referatu. Im ciekawsza intelektualnie sesja, tym więcej produkowano folkloru.

Kiedyś, musiało to być po Marcu '68, profesor Ziomek puścił w obieg dwie zwrotki z piosenki Natana Tenenbauma i zaapelował o dopisanie ciągu dalszego.

Kisiel z Kuroniem
Za pieniądze Mao
Sprzedali Żydom
Naszą Polskę całą

Bo Stefan Kisielewski
Jak z prasy wynika
Jest synem naturalnym
Studenta Michnika.

Z zadaniem od ręki zmierzył się Stanisław Barańczak (jak zwykle nie trzeba go było długo namawiać):

Zaś Kuroń własną ciotkę
Przerznął w pasie piłą
A potem od Michnika
Zaraził się kiłą.

Cała ta opozycja
To ludzie bez serca
Co drugi pederasta
Albo ludożerca.

Taki Lipski na przykład
Był białogwardzistą
Po czym za Dzierżyńskiego
Został się czekistą.

Robią na oczach Polski
Swoją wredną pracę:
Chrześcijan-milicjantów
Różną na krwawą macę.

Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Jacek Baluch wspominał w rozmowie ze mną, jak to wydawał z Barańczakiem na konferencji w Juracie pismo „Dze Litererczer” ze spisem treści fikcyjnych prac naukowych*. Zapamiętał *Sztrukturę sztruksu* Levi Straussa i *Paradygmat paraliteratury w Paragwaju* Głowińskiego. Jedyne egzemplarz wysłał Barańczakowi do Ameryki, ten go jednak, niestety, nie mógł znaleźć (choć na moją prośbę próbował).

* Ten rodzaj zabawy ma w Polsce długą tradycję. W wieczór sylwestrowy 1925 roku czterech profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego spisało „Trzynasty numer przewodnika bibliograficznego”, w którym znalazło się 400 tytułów nieistniejących książek, a każdy tytuł był aluzją do zainteresowań autora (rzecz rozeszła się w nakładzie 2 tys. egz., dziś to biały kruk). Blisko 70 lat później, też w Krakowie, na swym jubileuszowym wieczorze w Piwnicy pod Baranami prof. Henryk Markiewicz zaprezentował „Fantazję bibliograficzną z biurów i szuflad pracowników Instytutu Filologii Polskiej”, w której sparodiował tytuły prac naukowców z UJ („Nierozcięte egzemplarze książek w bibliotece krakowskiego teoretyka literatury jako źródło jego erudycji”, „Frekwencja rzeczownika na literę »k« i czasownika na literę »p« w języku mówionym mieszkańca Nowej Huty”, „Leopold Buczkowski i Lech Wałęsa. Studium o nie-spójności tekstu”).

Na innej konferencji Jerzy Ziomek obchodził 50. urodziny, więc ogłoszono konkurs na tekst gratulacyjny, toast, laudację. Członkini jury odczytała dwuwiersz Barańczaka:

Koszyk jeryzyn, poziomek
Niech ma J. prof. Ziomek!

Niestety, w drugim wersie się pomyliła i zamiast „J. prof. Ziomek” przeczytała: „Jerzy profesor Ziomek”.

– Żal było patrzeć, jak Staszek cierpi, że załamał się rytm wiersza – opowiadał mi uczestnik tej konferencji. – Bo dla niego z rytmem i rymem nie było żartów. Prymus. Perfekcjonista.

Konferencja w Puławach w roku 1976 była ostatnią, w której uczestniczył. Wkrótce jako członek Komitetu Obrony Robotników został wyrzucony z pracy na uniwersytecie. Koledzy ułożyli mu na pożegnanie żartobliwe epitafium:

Tutaj Staszek spoczywa. Wybacz dobry Boże.
Nie mógł on zasnąć w Panu, bo się zbudził w KORZE.

To solidnym i skrupulatnym poznaniakom zawdzięczamy, że te dawne zabawy ocalały. W Zakładzie Teorii Literatury na UAM przechowują grubą księgę z wklejonymi pożółkłymi karteluszkami. Plus maszynopisy i rękopisy luzem.

Jest tam napisany ręką własną Barańczaka anons: „UWAGA!! Rozpisuję konkurs otwarty na!! ANTY-GREŃ PÓŁ-SŁÓWEK!! Warunek i zarazem definicja: anty-gra musi być NIEPRZYWOITA w obu wersjach, to znaczy obustronna. Przykład: PIPKA SZOZDY (wariant: SZOZDA JAK PIPA)”.

I jeszcze kilka stron półsłówek, w tym kilkanaście jego autorstwa. Choć nie umieścił ich w rozdziale V „Obleśniki” (może nie miał dostępu do archiwaliów, a może je zdyskwaliifikował?), moja dusza archiwisty nakazuje mi ich zacytowanie:

TWIERDZENIE W PARZE
SMUTAS KUKŁY
PRÓBKI TENISÓW
ZRÓB BEZ TADKA
ZADRA JAKO JĄKAŁA
PIKOWA BRUZDA
KICZ Z PUDEŁKAMI
RÓBCIE PRZY PEKINIE
KUTNO BEZ SMUTASA
CYNOWE PLACUSZKI
KUPA W KOPEREK
SZYKANA NA TRYBIE
PERTURBACJA NA MASONIE
WYMOWA DO NATRYSKU
BIADANIE O GUŚCIE
JAK FLĄDRA
CYTUJĄC WACUSIA
NABRANIE ZARZĄDU

Są – a jakże – również dopiski profesora Ziomka: KUJĄCA WYRWA oraz SPANIE Z DERMY.

Kiedy Barańczak wyjeżdżał w 1981 roku do USA, gdzie na Uniwersytecie Harvarda objął Katedrę Języka i Literatury Polskiej, poprosił kolegów ze swojego wydziału, żeby mu zbierali gry półsłówki (i nie tylko). On jeden spośród uczestników dawnych zabaw swoją niepoważną twórczość potraktował całkiem poważnie i od lat 90. systematycznie ją publikował.

Biografioly i inne banialuki

Od razu po przyjeździe do USA Barańczak zaczął zbierać tzw. *personalized licence plates*, czyli napisy na tablicach rejestracyjnych, które projektuje sobie sam właściciel (w Polsce też to możliwe, chociaż raz tylko widziałam taką skrojoną na miarę tablicę).

„Tak samo jak w poezji – zauważa Barańczak w eseju *Tablica z Macondo* – właściciel samochodu wie, że jego dziełu wolno zaistnieć publicznie tylko wtedy, jeśli nie jest plagiatem” (plagiatu zresztą nie dopuściłby lokalny wydział komunikacji).

I podobnie jak poetę obowiązują go różne ograniczenia: twórca np. sonetu musi swoje przesłanie zmieścić w czterech liniach, a autor tablicy – w sześciu literach (w niektórych stanach – ośmiu).

Czy można zatem zaryzykować tezę, że łatwiej napisać sonet? Może lepiej powtórzmy za Barańczakiem, że artystycznym rezultatem w obu przypadkach może być zarówno grafomania, jak i arcydzieło.

Jakie więc treści można pomieścić w sześciu literach?

„Obiecujące możliwości – twierdzi Barańczak – kryją się w pozornie jałowej dziedzinie, jaką są tablice oznajmiające światu zawód lub hobby właściciela. WRITER lub JOGGER to nic szczególnego, ale np. AMON RA wskazuje na rzadką profesję egiptologa. (...) Tablica UNWED MD – »nieżonaty doktor medycyny« – nie byłaby tak ciekawa, gdyby nie fakt, że w Ameryce nieżonaty lekarz to świetna partia”.

Dalej analizuje okrzyki: OH, BABY czy OOPS. Ten ostatni Amerykanin wydaje, gdy popełni niezręczność lub gafę. Takie przyśrubowane na tablicy przeprosiny wiele – zdaniem Barańczaka – mówią o autorze, i to w różnych wymiarach: „poczynając od stylu prowadzenia pojazdu, poprzez poczucie humoru, aż do ogólnej koncepcji życia. Dokładnie tak jak w przypadku wiersza tablica może być więc ekspresją osobowości czy chwilowego stanu ducha”.

Jego osobista faworytka to tablica REAR („tył”): „Jakież w tych czterech literach bogactwo znaczeń i funkcji – od organizacji dźwiękowej po całą otchłanną metafizykę stu-

procentowej tautologii, nie mówiąc o pełnym rozmachu autoportrecie autora, człowieka tak niepraktycznego, że musi sobie przypominać, gdzie jego samochód ma przód, a gdzie tył”.

Z kolei moim faworytem (gdy tylko wizytowałam USA, też oddawałam się nałogowi czytania tablic) był napis HE PAID („on zapłacił”) oznajmiający, że samochód to prezent od kochanka lub przeciwnie – trofeum porozwodowe.

Barańczak nie poprzestał na kolekcjonerstwie i ambitnie spróbował wymyślić sensowny napis po polsku (ale bez liter ze znakami diakrytycznymi: ą, ć, ę, ł, ń, ó, ś, ź, ż) nieprzekraczający liter sześciu. Pierwszy tekst, który go zadowolili, brzmiał: AS SZOS. Dalej: NO TO CO? Potem: PRECZ Z. W końcu uznał proste zdanie ON JEST za najbliższe temu, czego oczekuje od poezji.

Wiosną 1990 roku u państwa Barańczaków w Newtonville pod Bostonem pojawił się z wizytą profesor Edward Balcerzan wraz z małżonką Bogusławą Latawiec. Stanisław Barańczak był akurat w trakcie przyswajania polszczyźnie pewnej zabawy wymyślonej przez angielskiego literata z przełomu XIX i XX wieku, Edmunda Clerihew Bentleya, a polegającej na pisaniu nonsensownych wierszowanych „biografii” najróżniejszych postaci historycznych lub współczesnych sław. Czterowiersze te, nazwane od drugiego imienia twórcy *clerihew*, charakteryzują się „rozmyślnie nieudolnym metrum, zabawnymi rymami i ekscentryczną puentą”^{*}.

Któregoś dnia na wspólnym spacerze Balcerzan podrzucił Barańczakowi rym: Szekspira-wampira.

* Definicja *clerihew* za: Władysław Kopaliński, *Słownik eponimów, czyli wyrazów odimiennych*, PWN, Warszawa 1996.

Balcerzan: – Powinieneś, Staszku, napisać *clerihew* o Szekspirze i użyć tego rymu. Długo nie czekał, by wierszyk był gotów:

Złą sławę Williama Szekspira
Jako grasującego po Wyspach Brytyjskich wampira
Szerzyli zawistni rywale; w istocie swoją żądzę krwawego mordu
Popularny dramaturg zaspokajał wyłącznie na terenie
rodzinnego Stratfordu.

Sam Balcerzan też włączył się do zabawy i wziął na warsztat przyjaciela:

Problemem Staszka Barańczaka
było, że mimo starań, czeka
nie umiał uprać tak, by czako
prezentowało się jako tako.

Z innych ułożonych wtedy przez siebie *clerihew* zapamiętał jeszcze tylko jedno:

Słowackiego Juliusza
po ziemi błąka się dusza.
Okazał się kłopotliwy jako obywatel Nieba:
wyrwał skrzydła aniołom, siłą fatalną przerabiając je
w zjadaczy chleba.

Któregoś dnia Barańczak poprosił swych gości o pomoc w wymyśleniu polskiej nazwy dla tego typu zabawy.

- Biografiszki, biografreski – zaproponował Balcerzan.
- Biografioly – rzuciła Bogusława Latawiec.

I tak zostało, a zbiorek pod tym tytułem został zadedykowany Bogusi i Edkowi Balcerzanom.

Barańczak pisał do Wiktora Woroszyłskiego, że zawdzięcza gościom nie tylko nazwę „biografioly”, ale natchnienie do ich układania. „Spędziliśmy z nimi cały miesiąc i, zwłaszcza dla Edka i dla mnie, był to czas bezustannego przerzucania

się grami pólslówek, kalamburami i improwizowanymi wierszami” (3 VI 1991).

Każdego ranka przy śniadaniu recytowali sobie swój urobek, a fedrowali głównie przy goleniu. Niestety, nikt tej rymotwórczej erupcji ani nie zapamiętał, ani nie zanotował. Z jej ducha jednak zrodziła się myśl, by napisać *Oratorium „Moratorium” na powitanie Europy Środkowo-Wschodniej* (patrz: rozdział VII „Poligłędźby”).

„Ostatnio samymi banialukami się zajmowałem – donosił Barańczak, tłumacząc Woroszyłskiemu okoliczności powstania *Oratorium*. – Napisałem je początkowo po angielsku, z wymyślnymi rymami i jedno- lub dwusylabowymi wersami, siedząc i nudząc się na jakimś uniwersyteckim zebraniu. Wersja polska, zupełnie inna pod wieloma względami, powstała dopiero podczas pobytu Balcerzanów”.

Najpewniej Barańczak jeszcze nie wiedział, że pisząc *Oratorium*, kładzie pierwsze cegiełki pod wspaniałą gmach zabaw literackich, które złożą się na wydaną pięć lat później książkę *Pegaz zdębiał*.

Oczyścić mózg czystym absurdem

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w Polsce szła pełną parą ustrojowa i gospodarcza transformacja, Barańczak popadł w obsesyjne pisanie i tłumaczenie wierszyków o zwierzętach. W objęcia tego nałogu popchnęła go sytuacja polityczna po wyborach prezydenckich 1990 roku, które o mały włos nie wyniosły do władzy osobnika nazwiskiem... No nie, niech nazwisko jego będzie zapomniane.

„Moje dni od depresji po wyborach w Kraju układały się według wzoru, w którym osobiście widzę coś patologicz-

nego – relacjonował Woroszyłskiemu. – Wstawałem skoro świt, zasiadałem do czytania najnowszego wydania gazety, a po skończonej lekturze coś takiego się ze mną robiło, że byłem niezdolny do jakiegokolwiek pracy umysłowej, zanim czystym absurdem nie oczyściłem sobie mózgu, układając kolejny idiotyczny wierszyk o jakimś zwierzęciu”. Dalej pisał, że te „humorystyczne wybryki” miały swoją dobrą stronę: „Każdego dnia po napisaniu idiotycznego wiersza o Flądrze czy Bekasie ogarniały mnie wyrzuty sumienia, że tracę czas na głupstwa, i dla ulżenia temuż brałem się za jakiś arcyważny wiersz religijny” (16 II 1991).

Przez całe lata dziewięćdziesiąte Barańczak będzie więc z równym zapałem i w ekspresowym tempie jedną ręką pisywał (i tłumaczył) utwory niepoważne, drugą zaś – uprawiał jak najbardziej poważną poezję i eseistykę, tłumaczył kolejne dzieła Szekspira (im bardziej w oryginale naszpikowane kalamburami, tym lepiej), a też „nieśmiertelne wiersze angielskie oraz amerykańskie” na polski, polskich poetów zaś – na angielski.

Kiedy w kwietniu 1991 roku wyładował na dziesięć dni w szpitalu z zapaleniem wyrostka robaczkowego, żalił się w listach, że zrobił zaledwie kilkanaście drobnych tłumaczeń i recenzji oraz naszkicował parę artykułów. Z twórczości oryginalnej – jedynie „satyryczny atak przeciwko memu prześladowcy” (wróć tu jeszcze do tego wierszyka):

Zbójca Appendix, bandzior Ślepa Kiszka,
Małolat – zbir Wyrostek Robaczkowy:
Już sama lista aliasów opryszka
Wprawia nas w Stan Łękowy i Ból Głowy
Jedyna jego istnienia przyczyna
To to, że go się czasami wycina.
Dość Liberalnych Zawodzeń i Pień:
Czemu od razu nie Wyciąć go w Pień?!

„Okres rekonwalescencji po wycięciu wyrostka – opowiadał później Bogusławie Latawiec – posłużył mi jako pretekst do odłożenia na bok innych zobowiązań i skupienia się, dla odpoczynku i rozrywki, na zajęciu, o którym marzyłem od dawna, mianowicie na tłumaczeniu amerykańskich i angielskich poetów zupełnie już i programowo »niepoważnych«, jak Lear, Carroll, Nash i inni wielcy »nonsensiści«. I ma chyba jakąś symboliczną wymowę fakt, że początki pracy nad tą antologią poezji niepoważnej zbiegły się z końcową fazą pracy nad antologią anglojęzycznej poezji religijnej, a także wczesnym etapem pracy nad antologią liryki miłosnej. Poczucie, że jest w tym świecie czy nad światem jakiś wyższy sens, że się kogoś w tym świecie kocha; i poczucie śmieszności tego świata (z sobą samym włącznie): to są, myślę, trzy równie ważne – i równie tajemnicze – podstawowe doznania duchowe, do których kluczem może być poezja”^{*}.

Korespondencja z Wiktorem Woroszylskim z lat 1982–1996^{**}, którą tu cytuję, to z jednej strony imponujący rejestr dokonań, zarówno jeśli chodzi o tłumaczenia, jak i twórczość własną Barańczaka, a z drugiej – rozkoszne przerzucanie się żarcikami, rymami, wierszykami.

Część tych wierszyków – wysyłanych już to z Hongkongu, już to z Zurychu – znalazła się w rozdziale IX „Turystychy”. Tu przytaczam tylko pozdrowienia wysłane przez Barańczaków z wakacji na Florydzie. Bo nie weszły do tej książki:

Oślawiona Floryda
Wredny fałsz i ohyda

* „O niepowadze z całą powagą”, „Teatr” nr 9, 1991.

** Za jej udostępnienie serdecznie dziękuję Natalii Woroszylskiej.

Pobył tutaj nas czworga
Absolutna katorka*.

Póki Barańczak odbywał podróże – wyżywał się w turystycznych, kiedy postępująca choroba Parkinsona ograniczyła mu możliwości podróżowania, zwłaszcza za granicę, przerzucił się na geografię, które nie wymagają facygowania się do opisywanego miasta czy kraju. Globtroter domator bowiem dywaguje sobie o jakimś kraju, nie ruszając się z fotela. Bo i po cóż miałby tuc się do Jemenu? Żeby naoczne obserwacje zmały mu klarowną wizję niewidzianego kraju?

* Takich prywatnych turystychów wysyłanych przez Barańczaka do przyjaciół znalazłoby się więcej. Jeden opublikowała Elżbieta Sawicka w „Plus-Minus Rzeczpospolita” z 11 listopada 1996 roku:

Balkantata

Pozdrowienia z miasta Krk.
Życie tutaj istny crk.
Niech się schowa swojski Szczrk
Ja do Krku fyrknę. Frk.

Wierszyk opatrzył Barańczak przypisem: Fyrknąć – gw. pofrunąć, wzlecieć, odlecieć prędko z szumem, łopotaniem (wg Słownika Doroszewskiego).

Z kolei pozdrowienia z podróży do Hong-Kongu przesłane przez Barańczaka redaktorowi Jerzemu Illgowi i opublikowane przez niego w książce *Mój Znak*, Znak, Kraków 2009 to inna wersja turystychów hongkońskich zamieszczonych w tej książce (choć wykorzystujących ten sam potencjał rymotwórczy):

Pozdrowienia z Hong-Kongu

Nikt tu nie wie o Maciągu.
Jakby ujął rzecz Konfucjusz,
Trzeba ludu czujność wzmóc już,
stworzyć karne bataliony
i gdy kto nie obznajmiony
czy z Balbusem, czy z Walasem,
to w batalion go, ciupasem.

Yemen

Też, mimo że pustynny, ma jakiś swój Niemen,
A na brzegu miejscową
Elizę Orzeszkową,
Która, duszy wzburzeniem miotana tajemnem,
Siedzi i pisze yemeńskie „Nad Niemnem”.
Jak to raz pięknie ujął pewien dygnitarz z Pabianic:
„Ludzka mentalność nie zna granic”.

Poza tym, cóż za wolność w dobieraniu wdzięcznych rymów:
Iran – firan, Łotwę – tło twe, Honduras – skąd uraz, Francja –
szarmancja.

Geografiol z Zambii polecam studiującym, nie, nie geografie,
ale teorii literatury, ściślej: poetykę. Po tej lekturze
jamb już nigdy nie pomyli się z żadną inną stopą metryczną:

Gdy mam opisać, czym jest **Zambia**,
Pomimo woli wpadam w jamb ja.
(Ra ramp, ra ramp ra ramp ra ramp:
Tak właśnie brzmi klasyczny jamb).

W referacie „Stereotypy etniczne w angielskiej i amerykańskiej poezji niepoważnej”^{*} Barańczak przytoczył garść angielskojęzycznych przykładów/przekładów geografiolów niepoprawnych politycznie. Poczesne miejsce zajmuje wśród nich cykl wierszy *Baedeker dla Bobasa* angielskiego humorysty Harry’ego Grahama.

Włochy

Pod rozpalonym i wysokim
Niebem Italii (czysty lazur)
W mistrzowskim byciu obibokiem
Włoch pokazuje swój lwi pazur.

* Opublikowany w materiałach z krakowskiej konferencji „Narody i stereotypy”, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 1995.

Rosja

W carstwie rosyjskim, jak to bywa
Z carstwami, władza oczywiście
Car, służąc głównie jako żywa
Tarcza strzelnicza anarchiście;
Stąd mądrość ludu głosi stara:
„Stawaj w hotelu, nie u cara”.
Ludność nie goli tu podbródka,
Pali przy stole i przełyka
Żrący płyn znany jako „wódka” –
Zabiłby on Europejczyka,
Lecz ludność jest rumianolicą
I nadal mówi cyrylicą.
Z powodu śniegu oraz mrozu
Marznie się tu nieopisanie,
A przez kraj pędząc, zamiast wozu
Z reguły siada się na sanie;
Dzwoneczki dzwonią, sypie śnieg,
I wilczym okiem łypie szpieg.

On sam jednak w swojej praktyce „nonsensisty” częściej bawił się poetyką absurdu.

W jednym z listów Barańczak dziękuje Woroszyłskiemu za biografioly o sobie i donosi, że Leszek Kołakowski przysłał mu wierszyk, gdzie jest aż sześć rymów do cietrzewia*.

W kolejnym liście informuje przyjaciela, że jego obrona Langusty przed „niesmacznymi atakami” sprawiła, iż musi przemyśleć swój stosunek do tego dania:

Nie jestem pewien, co to jest Langusta,
Ale wiem, że mi nie przejdzie przez usta.
Niech sobie smakosz na myśl o Languście
Cały się ślini w okolicy ust;
Mnie wzmianką o tej rozpuście nie kuście,
Langusta nie jest w moim Guście,
A Gust tak samo niezły mam jak Spust.

* Ja doliczyłam się pięciu: cietrzew/zetrze w/wieszcze w/czcze w/bledsze w/się Tczew.

Czasem Barańczak nie może się wprost powstrzymać przed pisaniem do rymu. I tak, kiedy się żali, że z nowym rokiem akademickim znowu dał się zaprząć w „dydaktyczny kierat”, rymuje go z „rad nierad”. Innym razem, pisząc o trudnościach z odcyfrowywaniem faksów, rzuca: „Jak mówi przysłowie kurpiowskie: »Im większa czcionka max, tym mniej przekłamię fax«”.

Obsesyjna rozrzutność Barańczaka

„Jako humorysta nie byłem dotąd znany, choć ten rodzaj twórczości uprawiałem od wczesnej młodości, tyle że głównie w kręgach oraz celach prywatnych” – oświadczył Barańczak w 1991 roku w cytowanym tu już wywiadzie dla „Dziennika Poznańskiego”. I zapowiedział: „Wkrótce cała lawina mojej twórczości humorystycznej runie na głowy czytelników dzięki wydawnictwu a5”.

Ale nawet, jak już Barańczak zaczął swoje zabawy drukować, dalej bawił się prywatnie, bezinteresownie, nie do druku. I tak przysłał mi kiedyś plik wizytówek dla przyjaciół własnej produkcji:

KRYSTYNA KRYNICKA

* Tytaniczna Osobowość * Jedna z Legendarnych „Cór Kórnik”

* Żywy Dowód Wyższości Płci Żeńskiej Nad Innymi Płciami

* Kobieta z Klasą i Gustem, o Czym Świadczy

Wydawanie przez Nią Dzieł

STANISŁAWA BARAŃCZAKA

WIKTOR WOROSZYLSKI

* Poeta * Smakosz * Mąż * Ojciec * Dziadek * Wzór osobowy

* Posiadacz Poczucia Humoru * Gościnnie Gospodarz

* Cierpliwy Czytelnik Wszystkich jak Leci Utworów

STANISŁAWA BARAŃCZAKA

WOJCIECH KARPIŃSKI

- * Wybitny Umysł * Ogromna Erudycja * Niepospolita Wrażliwość
- * Rzadko Spotykana Umiejętność Docenienia Tego Niezwykłego
Zjawiska, Jakim Jest Twórczość
STANISŁAWA BARAŃCZAKA

JOANNA SZCZĘSNA

- * Redaktorka * Miłośniczka i Kolekcjonerka Zabaw Literackich
- * Autorka Niezapomnianych Wspomnień o Pewnym
Solidnym Poznaniaku
- * Mile Widziany w Newtonville Gość,
Zwłaszcza Gdy Zachwyca się Dokonaniami
STANISŁAWA BARAŃCZAKA

Gdzieś od połowy lat dziewięćdziesiątych miał już Barańczak bolesną świadomość, jak bardzo – ze względu na chorobę – kurczy się czas, jaki może poświęcić w ciągu dnia na pracę. Mimo to nie porzucił literackich zabaw. Tak tę swoją przy padłość podsumował w liście do Woroszyłskiego: „Zachowuję się jak matematyk Whitehead opisany w pamiętnikach Bertranda Russella jako facet, który próbował tłumaczyć swój lęk przed zbiednieniem obsesyjną rozrzutnością” (9 VI 1996).

A oto efekty owej Barańczakowej „rozrzutności”:

1. *Biografioty*. Poczet 56 jednostek sławnych i osławionych oraz *Appendix* umożliwiający człowiekowi kulturalnemu zrozumienie i zapamiętanie, o co chodzi w podstawowych utworach W. Szekspira, wydawnictwo a5, Poznań 1991.
2. *Zwierzęca zajadłość*. Z zapisków zniechęconego zoologa. wydawnictwo a5, Poznań 1991.
3. *Zwierzę słucha zwierzeń*. Małe bestiariusz z angielskiego albo: trzydzieści sześć wierszy trzydziestu sześciu poetów zwracających się do lub mówiących o mniej więcej tyluż zwierzętach w wyborze i przekładzie Stanisława Barańczaka, Itaka, Warszawa 1992.
4. *Zupełne zezwierzczenie*. Zeszyt znacznie zgryźliwszych zaskakujących złośliwością znany zbiorek *Zwierzęca zajadłość* zapisków zniechęconego zoologa, wydawnictwo a5, Poznań 1993.

5. *Fioletowa krowa. Antologia angielskiej i amerykańskiej poezji niepoważnej*. 333 najślawniejsze okazy angielskiej i amerykańskiej poezji niepoważnej od Williama Shakespeare'a do Johna Lennona. Antologia, wydawnictwo a5, Poznań 1993.
6. *Żegnam Cię, nosorożcze*. Kompletne bestiarium zniechęconego zoologa od Ameby do Żrebięcia, z uwzględnieniem zwierząt rzadko spotykanych, a nawet w ogóle nie spotykanych, Świat Książki, Warszawa 1995.
7. *Pegaz zdębiał*. Poezja nonsensu a życie codzienne. Wprowadzenie w prywatną teorię gatunków, PULS, Londyn 1995.
8. *Bóg, Trąba i Ojczyzna*. Słoń a Sprawa Polska oczami poetów od Reja do Rymkiewicza, Znak, Kraków 1995.
9. *Geografioły*. Z notatek globtrottera-domatora, Prószyński i s-ka, Warszawa 1998.
10. *44 opowiadki*. Edward Lear, Lewis Carroll, W.S. Gilbert, A.E. Housman, Hilaire Belloc, wybór, przekład i opracowanie Stanisław Barańczak, Znak, Kraków 1998.
11. *W świecie mułłów nie ma reguł*. Ogden Nash. Wybór i wersja polska: Stanisław Barańczak, Media Rodzina, Poznań 2007*.

Linneusz zabaw literackich

Alfabetony, palindromadery, onanagramy, mankamęty, obleśniki, idiomatoły, poligędźby, liberyki, turystychy, beze-cenzje (cytuję za spisem treści *Pegaza*) – Barańczak nie tylko uprawiał wszelkie istniejące językowe i poetyckie zabawy, ale też tworzył własne.

Pegaz zdębiał opatrzony został przez niego podtytułem: *Wprowadzenie w prywatną teorię gatunków*. Bo też w odróżnieniu od wielkiego klasyka w dziedzinie purnonsensu Juliana Tuwima, który w dziele *Pegaz dęba* opisał istniejące

* Przekłady Nasha też powstały w latach dziewięćdziesiątych, ale długo czekały na wydawcę.

od stuleci kurioza i zabawy, Barańczak wciąż tworzył gatunki nowe, a jeśli już korzystał ze starych wzorów, przekształcał je twórczo i po mistrzowsku.

Porządkując, systematyzując, nadając nazwy grom i zabawom, dokonał Barańczak dzieła na miarę Linneusza. Inna rzecz, że gdzie tam Linneuszowi do Barańczaka – czy stworzył on choćby jedno zwierzę, roślinkę, minerał? Nie, on tylko obserwował i opisywał. A Barańczak większość gatunków i rodzajów po prostu wymyślił.

Purnonsensowa twórczość Barańczaka nie mieści się w żadnych ramach i rozsadza wszelkie konwencje. A naturalne i zdawałoby się nie do pokonania ograniczenia i przeszkody, jakie stawia twórca ojczysta mowa, działają na niego niczym ostroga na konia.

Mamy w polszczyźnie przewagę spółgłosek nad samogłoskami? No to on spróbuje zakasować dźwięcznością choćby i włoski.

O, Aido! Woalami
I aloesami wonna,
Nie dbająca, co salami,
Neon, Cohen i Madonna.

Skądinąd zresztą Barańczakowi w najmniejszym stopniu nie przeszkadza nadmiar spółgłosek. On potrafi napisać wiersz z jeszcze większą ich liczbą, niż przyjęta dla polszczyzny średnia (ale recytator nie może mieć żadnych, ale to żadnych wad wymowy):

Chrzęst szczęk pstrych krów wprządl w słuch
Szept: „Trwasz wśród łgarstw? Tchórz!
Stwórz wpierw z przerw werw, z chwil skruch
Strzęp chwałb – nerw ścierw czymś strwóż!”

Słuch Barańczak ma absolutny (stopy metryczne w małym palcu), rymuje brawurowo i nie istnieją dla niego słowa „nierymowalne”:

Straszna rzecz się zdarzyła przy chrzcie,
Rodzic-gamoń wydał krzyk: „Niechż« cie!...”
I niemowlę dłoń nieostrożna
Upuściła w chrzcielnicę. Nie można
Mówić tu o rozsądku choć krzcie.

Absolutny mistrz układania wierszy jest jednocześnie Barańczak wybitnym narratorem, który oprowadza nas po krajinach absurdu i nonsensu z pasją i wdziękiem.

Fioletowa krowa z kolei to antologia kongenialnych przekładów ułożonych przez Barańczaka w misterną, przemyślaną kompozycję. Nie wiem zresztą, czy słowo „przekład” jest tu właściwe (autor też ma wątpliwości). To raczej parafrazy, by nie powiedzieć szalone wariacje na kanwie oryginałów. Oto na przykład krótka *Refleksja na temat przełamywania lodów przy nawiązywaniu stosunków towarzyskich* Ogdena Nasha (*Candy/is dandy;/But liquor/is quicker*) pod piórem Barańczaka rozwija się w całą lawinę (kilkanaście wariantów):

Kawa/Się nadawa,/Lecz gorzała/Szybciej działa.
Herbata/Też zbrata;/Ale martini/Szybciej to czyni
Coctails mleczne/Są bezskuteczne;/Ale wódka/Czyni cuda
Banany w mazagraniu -/Niebanalne zagranie;/Lecz sukces
towarzystki/Zapewnia prosta whisky
I tak dalej, i tak dalej*

* Takie rozbuchanie i wymyślanie najróżniejszych wariantów zdarza się zresztą Barańczakowi nie tylko przy tłumaczeniach, ale i w twórczości oryginalnej. Wystarczy zajrzeć do rozdziału VIII „Liberyki”, by znaleźć tam po kilka wersji ostatniej linijki limeryków.

„Humor purnonsensowy jest bezinteresowny, niczemu nie służy poza samym śmiechem – przypomina Barańczak. – Satyryk wierzy, iż bronią humoru coś tam w świecie wywalczy, ulepszy lub racjonalnie przekształci, np. naprawi obyczaje, ośmieszy tyrana albo skłoni radę miejską do przeznaczenia części budżetu na większą liczbę koszy na śmieci. Natomiast nonsensista w kwestii owocności własnych zabiegów humorystycznych i w ogóle racjonalności bytu jest czarnym pesymistą. Można by rzec, że nic poza śmiechem mu nie pozostaje. Zwłaszcza że nie obchodzą go tzw. doraźne bolączki: tyrana można usunąć, kosze na śmieci ustawić, ale co z tego? Nonsensistę, podobnie jak poetę metafizycznego (...), interesują, przeciwnie, właśnie te problemy egzystencji, które tak czy siak są nierozwiązywalne”.

Barańczak, którego osobiste i oryginalne dokonania w dziedzinie poezji niepoważnej sięgają Himalajów nonsensu, swoją antologią wypełnił dotkliwą lukę w naszej znajomości, co na tej niwie zdziałali poeci anglojęzyczni. Mamy tam i Szekspira, który – jak Barańczak udowadnia – był słupem milowym („w porywie geniuszu wynalazł metodę *malapropizmu*, czyli dowcipu opartego na błędnym użyciu słowa – co następuje wskutek przejęzyczenia się, niedosłyszania słów partnera, przekręcenia wyrazu z powodu jego niedostatecznej znajomości i innych podobnych nieporozumień”), mamy nonsensistów znanych w Polsce z wcześniejszych przekładów (Lear, Carroll, Nash), mamy wreszcie autorów, których dopiero on przyswoił polszczyźnie (np. Morris Bishop czy Harry Graham).

Poezja nonsensu – uważa Barańczak – zaspokaja elementarną ludzką potrzebę „wzięcia odwetu na samym istnieniu” i stawia nas twarzą w twarz z metafizyczną tajemnicą.

I tak na przykład dzięki jego przekładowi wiersza Ogdena Nasha *Cała sztuka umieć ziewać bez otwierania ust* zastanawiamy się, dlaczego ktoś jest nudziarzem, a kto inny – nie jest. No właśnie, jeden z byle czego utka pasjonującą historię, podczas gdy inny:

jest ekspertem we wszystkim od
czarnej magii i demonologii poprzez teatr elżbietański aż
do metodyki wywabiania z krawata tłustej plamy.
Był raz zaproszony na weekend jako osobisty gość Dalajlamy,
Innym razem zastąpił niedysponowanego ichneumona w walce
z kobrą, a jeszcze kiedy indziej przeprowadził pierwszą w
historii udaną podwodną operację przeszczepienia trzustki,
I co? – każda jego opowieść pozostawia mnie w stanie nie
opisanej nudy i pustki.

Fioletową krowę można czytać wedle ulubionych autorów.

Fioletową krowę można czytać, posługując się alfabetycznym spisem *incipitów* (wybierając wedle nastroju i potrzeby serca już to utwór: „Ktoś może być sobie dentystą, ktoś inny, przeciwnie, irredentystą”, już to „Mam żal do Opatrzności za to, że wstępować na drogę poprawy można tylko, jeśli się wpierw było grzesznikiem”).

Fioletową krowę można czytać wedle ulubionych gatunków (żeglując przez spis treści i indeksy, lokalizując limeryki czy epitafia).

Wreszcie można ją czytać „po porządku”, to jest tak, jak ułożył antologię autor.

Już sama zresztą lektura spisu treści i tytułów rozdziałów to całkiem oddzielna przyjemność. Kto nie wierzy, niech sprawdzi:

VII „...Omam nie dałem klapsa bachorowi” albo kłopot
z dzieciństwem: na prawdziwe życie jeszcze za wcześnie
IX „Skąd sił tyle w sędziwej twej żuchwie?” albo kłopot
ze starością: na prawdziwe życie już za późno

X „Uroki, roztaczane przez niektóre zwłoki” albo kłopot
ze śmiercią: na niej jednej zawsze można polegać

XII „Matki są czymś niewybaczalnym” albo kłopot
z rodziną: nie cieszy, gdy jest

XVI „Na twarz padła wiążąc sznurowadła” albo kłopot
z naturą ludzką (1) ciało obniża nam poziom

XVII „Dmij w klawesyn, całkiem zatracić się w tym dęciu
albo kłopot z naturą ludzką (2) ...A dusza rwie się nad poziom

Jeśli mimo tych wszystkich spisów i indeksów czasem nie mogę odnaleźć niezbędnego mi w danym momencie do życia wiersza, to wcale się nie złościę ani nie uskarżam na swój los; przeciwnie: czytam od nowa metodycznie (zaznaczanie kolorowymi przyłepkami utworów, którymi delektuję się najczęściej, nie zdaje egzaminu; już po paru miesiącach użytkowania tom jest upstrzony zakładkami).

Poezja purnonsensowa, ale też różne gry i zabawy literackie nie mają w Polsce aż tak długiej i intensywnej tradycji jak w literaturze angielskiej czy amerykańskiej. Tam tym rodzajem twórczości parają się poważni poeci, jak W.H. Auden czy Philip Larkin, a i prozaicy, jak choćby Vladimir Nabokov czy John Updike. Nie mówiąc o zawodowych „nonsensistach”, którzy są traktowani zresztą bardzo serio (to jest mniej więcej tak jak u nas Mickiewicz). Dość powiedzieć, że o Nashu powstały dziesiątki naukowych rozpraw analizujących wszelkie aspekty jego twórczości (wersyfikacja, słowotwórstwo, rymy, bon moty, puenty), a na stulecie jego urodzin amerykańska poczta wypuściła serię znaczków z jego podobizną (umieszczono na nich jego najbardziej znane dwu- i czterowiersze).

To się nazywa dopiero kariera. Jednak my, mając Barańczaka, możemy nie mieć kompleksów. I *Krowa*, i *Pegaz* otworzyły w dziejach purnonsensu w Polsce nową epokę.

Inspirować Barańczaka

Stanisława Barańczaka zawsze dość łatwo było namówić, żeby stanął do limerycznego turnieju, zabłysnął serią złośliwych epitafiów czy przetłumaczył jakieś wierszyki z angielskiego.

Pamiętam, jak poinformowałam go, że według definicji w *Encyklopedia Britannica* limeryki są absolutnie nieprzekładalne, a jeśli już nawet zostaną przełożone, to tracą sens. „I co Ty na to?” – pytałam, niby niewinnie podsyłając mu dwa angielskie arcydzieła.

There was a young plumber of Leigh,
Who was plumbing a girl by the sea.
She said, “Stop your plumbing,
There’s somebody coming!”
Said the plumber, still plumbing, “It’s me”.

„Ten limeryk przetłumaczono już na francuski, niemiecki, łacinę... tylko na polski nie – ciągnęłam dalej. – To zaś mój kolejny faworyt. Zwykle anegdota limerykowa jest ponadczasowa, wyprana z realiów czasu i miejsca. A tu, proszę, od razu widać, że akcja toczy się w okupowanej Europie w czasie wojny” (22 III 1998).

A girl of uncertain nativity
Had an ass of extreme sensitivity
When she sat on the lap
Of a German or Jap,
She could sense Fifth Column of activity.

„Joasiu droga, ale ty mnie prowokujesz, Ty perfidna, Ty! – odpowiedział Barańczak, załączając oczywiście tłumaczenie”

czenia. – Nie oszczędziłaś mi nawet cytatu z *Britanniki*” (25 III 1998). Od razu zaznaczył, że pierwszy limeryk musiał mocno sparafrazować, jako że w polszczyźnie nie ma odpowiednika angielskiej dwuznaczności wyrażenia *to come*. Ale hydraulika i hydrauliczenie zostawił.

Pewien młody hydraulik z Legnicy
Zhydrauliczył raz sobie w piwnicy
 Pewną panią, która zresztą za tę
 Rzecz musiała uiścić opłatę –
Tacy są dziś młodzi hydraulicy.

Drugi przekład, choć też nie trzymał się kurczowo oryginału, absolutnie zachował sens.

Major KGB, Masza, ma rzadki
Talent: superwrażliwe pośladki.
 Przez Giermanca brana na kolana,
 Już po chwili sięga po nagana:
„Szto zdies?, Piąta Kolumna?!... Gagatki!...”

Ze szczególną łatwością prowokowała go Szyborska, już to apelując, by zrymował nazwę miejscowości Ocypel, już to zachęcając do pisania limeryków „mickiewiczowskich”. Jedną z tych prowokacji obrodziła wręcz powstaniem nowego gatunku – moskalików. W grudniu 1998 roku poetka kilkanaście razy strawestowała wierszyk Rajnolda Suchodolskiego (*Kto powiedział, że Moskale,/Są to bracia nas, Lechitów,/Temu pierwszy w łeb wypałę/Przed kościołem Karmelitów*), wykorzystując rymy: Anglicy – przyłbicy, Bułgarzy – wydarzy, Finowie – po głowie, Francuzi – po buzi, Hindusi – zmusi, Hiszpanie – przestanie, Huculi – koszuli, Jankesi – wskrzesi, Japońce – końce, Kazbecy – plecy, Malgasze – w kaszę, Murzyni – uczyni, Łotysze – wypiszę, Włosi – prosi, Żydzi – obrzydzi.

Zabawę zatytułowała „Rymowana rozprawa o wyższości Sarmatów nad innymi nacyjami tudzież o słusznej karze na

zatwardziały, którzy tego poglądu nie podzielają” i oparzyła *post scriptum*: „Koniec, ale tylko z braku dobrze rymujących się określeń, bo nie jestem Barańczakiem...”.

Osobiście przefaksowałam Barańczakowi „Rozprawę...”, ten zaś odpowiedział odwrotną pocztą: „Wyzwanie podejmuję i rozwijam temat o dziesięć strof następnych, które przekaż, proszę, Mistrzynie”.

A rymy to rzeczywiście ten Barańczak potrafił dobierać: „Afrykańczuk – kańczug” „w Gujanie – w guanie”, „Panamy – łeb damy”, „Turek – dwu rurek”, „na Węgrzech – rżnę grzech”...

U Szymborskiej „Chińczyki” prostolinijnie rymują się z „kliniki”, on dla rymu wprowadza seplenienie:

Kto powiedział, że Chińczyki
też są dziećmi ewolucji,
tego zniosą do kliniki
spod przybytku świętej Łucji.

Kto sepleni: „Hej, Chincyku,
Jak skutecznie muchy tępis!” –
Tego dźgaj, mój Szczyorku,
Przed kościołem T. a Kempis!

Publikacja w „Gazecie Wyborczej” tego pojedynku na trawestację sprawiła, że rozpętało się w narodzie prawdziwe szaleństwo i powstały tysiące czterowierszy, czego efektem stała się oddzielna książka*.

Edward Balcerzan, który brał udział w zabawie i któremu moskaliki się przejadły, zaproponował, by trawestować słynny dwuwiersz z „Traktatu moralnego” Miłosza.

* Joanna Szczęsna *Moskaliki, czyli o wyższości Sarmatów nad inszymi nacjami*, Agora, Warszawa 2014.

Lawina kształt od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach.

Zachęcał Barańczaka własnym przykładem:

Ma pewien wpływ kształt górskich zboczy,
Na to, jak się lawina toczy.

*

Lawina spada w dół z tej racji,
Że działa prawo grawitacji.

*

Gdyby poziomo gnał kłęb lawin
Miał miałbyś z miast: z Mław, Gdyń czy Skawin.

I przykładem profesora UJ Stanisława Balbusa:

Kształtu lawiny główna troska:
Po jakich toczy się spółgłoskach;
Już jedna miękka się przyczynia
LAWINA staje się LAWINIĄ.

Barańczakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Od razu
siadł do produkcji LAWINIETEK*.

Zrazu trzymał się wiernie wyznaczonych reguł gatunku:

Lawina leci w dół, nie w górę,
Bo lawiniastą ma naturę.

*

Lawina toczy się zależnie
Od tego, co po drodze przerznie.

*

Lawina, bieląc się bezbrzeżnie,
Grzebie pod sobą domy. Wież – nie.

* Historię powstania lawinietek (zwanym początkowo lawiniaturami) Edward Balcerzan opisał w nieistniejącym już piśmie poznańskim „Arkusze” w artykule „Lawinarium” z kwietnia 2000 roku.

Lawina bieg swój zmienia zwłaszcza,
Gdy zgniata, miażdży lub rozplaszcza.

*

Lawina przypomina walec:
Nie wierzysz? Podłóż pod nią palec.

Szybko jednak – jak to on – zabrał się do reformowania gatunku. Fizyka? Prawo grawitacji? No nie:

Dialog z lawiną jest ciekawy.
Ty: „Spadaj”. Ona: „Nie ma sprawy”.

*

Lawina, zwłaszcza z tych śnieżystych,
Niejeden już przygniotła dystych.

Następnie porzucił dystych i przerzucił się na czterowiersze:

Lawinie sztuczne dać koryto?
Rzeczą szkodliwą byłoby to.

Zdrowiej jest, gdy lawina grzebie
Nas w naturalnym skalnym żlebie

*

W lawinie to się rzuca w oczy:
Choć spadnie, wciąż się dalej toczy.

Najbardziej jest spektakularnie,
Gdy z Tatr dociera pod Jastarnię.

Po czym ruszył dziarsko w stronę poematu opisowego:

Lawiny śnieżnej nie myl z Lawą:
Tylko ta druga jest plugawą.

Inna różnica między nimi:
Lawa bulgocze oraz dymi.

Lecz obie są jak Motocykle:
Wstecznego biegu brak im zwykłe.

W kolejce na Kasprowy – narciarz
Posuwa się do burd i starć aż:

Nie dba, że wrzaskiem klątw jedynie
Pomaga urwać się lawinie.

Tak przez nachalnej draki hałas
Pasterz swój halny traci szałas.

Nie może się doliczyć kierdla...
„Turysta” – wandal – precz do pierdła!

*

Leopold Lewin z pism Lenina
Pamiętał tylko, że lawina,

Gdy stwierdza: „Jest mnie sporo, psiakość!”
Ilość przetwarza w nową jakość

I na poziomie kosodrzewin
(Tak za Leninem głosił Lewin)

Przemienia się, ustając w biegu,
Z Lawiny – w Dużą Kupę śniegu.

*

Lawina śnieżna gdy już spadnie –
Dokoła cicho jest i ładnie.

Ze śniegu jak źdźbła oziminy
Wystają narty i kończyny.

Na jednej z rąk zegarek „Ruhla”
Tym, że nie stanął, nas rozczuła.

I niesie w dal turysta-piechur
W uchu hurgot gór, ich ech chór.

Ten ostatni dwuwiersz Barańczak długo swoim zwyczajem
poprawiał i doskonalił, aż w końcu brzmiał tak:

I w chichot wichur brnie gbur-piechur
W gór hurgot, w bór, w grot i w ich ech chór.

Propozycji Balcerzana, by rozszerzyć tematykę „lawinarium” o fizyczną egzystencję H₂O Barańczak nie podjął.

Woda z natury nieforemna,
Miewa kształt flaszki, albo Niemna.

Skądinąd żal, bo był w tym pomysle pewien potencjał zabawowy.

No więc czasem Barańczak na zaczepki prowokatorów nie reagował, a innym razem inspirował się czymś nie wprost. Kiedyś doniosłam mu, że planuję z Anną Bikont dla „Gazety Wyborczej” serial o pisarzach, którzy zaangażowali się w komunizm, by potem z nim zerwać i przystąpić do opozycji*. Innymi słowy, że bierzemy się do historii powojennej literatury polskiej i prosimy, by opowiedział nam o swojej współpracy z wydawanym poza cenzurą „Zapiskami”. „To, co piszesz o Waszej serii, bardzo mi zaimponowało – odmejlował. – Co za ambitny projekt, i jaki trudny w obliczu tego zatrznadlenia, do którego doszło w polskim myśleniu na te tematy” (4 X 1999).

I załączył wierszyk, który zapowiadał plan równie ambitny: historię literatury polskiej od Galla Anonima po Bronisława Maja uwzględniającą wyłącznie twórców o nazwiskach jednosylabowych:

Monosylabizm: moda czy mania?

Gall (A), Rej, Sęp, Jeź, Prus,
Staff, Strug, Schulz, Braun, Brycht, Bryll –
jak zgrzyt szprych lub skrzyż płóz
Brzmi ten na pół wojsk. dryl.

* Serial ten rozrósł się do opasłej książki zatytułowanej *Lawina i kamienie. Pisarze do i od komunizmu*, Prószyński i s-ka, Warszawa 2006.

O lit. pol! Czyż spis twych
Najwsp. piór ma przybr. kształt ten:
Pol (Winc.), Boy, Maj, Mach, Zych,
Stern, Kern, Kierc, Hertz, Chwin, Hen?

Ceń zwięzł. **dział** – nie nazw. aut!
Lam (J), Lem, Lec, Fac, Kruk,
Król, Krall, Kłys, Kus, Błaut, Haupt,
Herbst, Kierst, Bunsch, Dróźdz, Czycz, Chciuk.

Katz, Kott, Walc, Wat, Pilch, Wiech...
– Hist. lit. – choć ty trad. strzeż! –
Lecz Lam (A), Nycz, Fiut, Święch –
jednozłóskowi też!

Grzmi głos publ., twar. jak stal:
„Współcz. pis. pol.! Rzuć precz te
gry i po pros. miej tal.
jak Proust, Joyce lub Mann (T.)!?”

*Z planowanego cyklu „Owce pędy i ślepe zaułki
literatury polskiej”**

Rym dokładny, a stopa konsekwentna

Podobnie jak Wisława Szymborska również Barańczak uważał, że asonans, znaczy rym przybliżony, jest w poezji humorystycznej „kontrproduktywny”. Zwłaszcza we fraszce czy limeryku, w których jako że małe rozmiarami, rym jest bardziej na widoku. Ich komizm z rymów się bierze, mają więc być nieoczekiwane i dokładne.

„Joasiu, w kwestii dokładności jedyny wyjątek uczyniłbym dla rymów tzw. głębokich albo ogólniej bogatych, tzn. obejmujących więcej sylab albo materiału fonetycznego, niż potrzeba dla uzyskania prostego rymu-minimum – oświadczył

* Cytuję za: „Zeszyty literackie”, nr 73 z zimy 2001.

Barańczak. – Rymy takie powinny też być w zasadzie dokładne, ale trafiają się z rzadka takie perełki (wymyślam na poczekaniu: »adekwatnie – (wsadźcie) w zadek kwiat mnie«), że za ich spektakularne rozmiary albo bogactwo brzmienia wybaczymy im drobną niedokładność fonetyczną. Rymy składane albo »łamane« – jak najbardziej, jeśli tylko robią wrażenie komiczne, tzn. domyślamy się w nich nie nieudolności autora, ale jego umiejętności w igraniu słowami. Limeryk w ogóle nie znosi żadnej taryfy ulgowej” (19 XI 1997).

Spytałam, czy preferuje jakieś metrum dla limeryku (w tradycji anglosaskiej najczęściej jest to jamb lub anapest, ale w polszczyźnie częstszy i bardziej naturalny jest trochej i amfibrach). Odpowiedział, że nie obowiązuje żadna określona stopa, jedynie konsekwencja w stosowaniu wybranej stopy (narzucanej przez pierwszą linijkę).

Książeczkę o limerykach, której byłam współautorką*, uznał za uciесzną. Miał jednak zastrzeżenia co do wersyfikacji niektórych utworów, a zaburzenia w budowie metrycznej wiersza odbierał bardzo osobiście („to cios w mój żołądek”). Przez „pedantycznie-zrzędliwą stronę swej osobowości” poczuł się więc zmuszony do schlastania jednego z limeryków.

Pewien biskup w Neapolu
Jesienią zasiał chuja w polu.
Gdy przyszedł na wiosnę,
Rzekł kutas: „Ja rosnę.
A co z tobą, mój drogi Karolu?”

„Posłuchaj, Joasiu, przecież to wersyfikacyjna katastrofa: trocheje w pierwszej linijce, jamby w drugiej, amfibrachy

* Anna Bikont, Joanna Szczęсна, *Limeryki, czyli o promienistych szczytach nonsensu*, Prószyński i ska, Warszawa 1998.

w trzeciej i czwartej, i jeszcze na dokładkę anapesty w piątej! A tak łatwo było uzyskać stuprocentowe poprawne wersje oparte na którejkolwiek z tych stóp, byle stosowanych konsekwentnie!” (26 X 1998).

Ułożył zatem te poprawne wersje, dla większej przejrzystości ograniczając się do początkowego dystychu.

Oto wersja jambiczna (sylaba nieakcentowana, sylaba akcentowana):

Raz pewien biskup w Neapolu/Zasadził organ męski w polu.

Trocheiczna (sylaba akcentowana, sylaba nieakcentowana):

Pewien biskup w Neapolu/Członek raz zasadził w polu.

Daktyliczna z kataleksą w klauzuli i przed średniówką (sylaba akcentowana, sylaba nieakcentowana, sylaba nieakcentowana):

Raz pewien biskup spod Neapolu/Drobny swój fallus
zasadził w polu.

Anapestyczna (sylaba nieakcentowana, sylaba nieakcentowana, sylaba akcentowana):

Pewien biskup, co żył w Neapolu,/Zwiędły penis zasadzać
zwykł w polu.

I na zakończenie wersja amfibrachiczna (sylaba nieakcentowana, sylaba akcentowana, sylaba nieakcentowana).

Luigi, kardynał z Palermo –

Tu mój korespondent ogłosił przerwę obiadową i zapowiedział, że po powrocie do komputera ulepszy limeryk przez

użycie rymu ciekawszego niż banalne „Neapolu-polu”. Jak powiedział, tak zrobił:

Gdy glebę ogródka w Palermo
Znów sycił czymś proboszcz Guillermo,
Lud szemrał z rosnącym wzburzeniem:
Nasieniem? Tak, ale nasieniem
W sensie nasion, nie spermy, ofermo!

Dodatkowo zauważył, że autor limeryku oprócz błędów formalnych popełnił jeszcze i błąd rzeczowy, najwyraźniej nie widząc różnicy między znaczeniami słów „zasiać” i „zasadzić”.

„Żeby zasiać coś takiego jak penis (nie lubię słowa chuj, nie ze względów pruderyjnych, ale fonetycznie-ksenofobicznych: po co polszczyźnie z jej wspaniałym, sutym, kutym i wyzieraającym spod kontusza kutasem to rosyjskie słowo, które już pierwszym dźwiękiem zapowiada chamstwo, a w którego *uj* słyhać wycie wiatru i wilków na jakimś mroźnym stepie pod Kujbyszewem?), aby więc, powiadam, zasiać coś takiego, trzeba by to w pierw sproszkować. Do siania organ męski się nie nadaje, nadaje się natomiast świetnie do sadzenia”.

Uroki roztaczane przez niektóre zwłoki

Kiedy napisałam do Stanisława Barańczaka, że przygotowujemy wraz z Anną Bikont książeczkę o żartobliwych epitafiach, włączył się do jej współtworzenia z entuzjazmem.

Rzeczywiście zawdzięczamy mu wiele, że nie wspomnę o podtytule *uroki roztaczane przez niektóre zwłoki**, będącym

* Anna Bikont, Joanna Szczęsna, *Epitafia, czyli uroki roztaczane przez niektóre zwłoki*, Prószyński i s-ka, Warszawa 1998.

cytatem z *clerihew* Edmunda Bentleya przełożonego przez Barańczaka:

Urokiem lorda Clive (zwanego Jimmy)
Jest to, że nie ma go między żywymi.
Trzeba w ogóle docenić uroki
Roztaczane przez niektóre zwłoki.

Przy okazji zwrócił mi uwagę na pokrewieństwo łączące *clerihew*, to jest w spolszczeniu biografiola, z żartobliwym epitafium. I dodał: „Ufam, że wyłowiłaś z *Fioletowej krowy* wszystkie ukryte w niej wariacje gatunkowe epitafium, nie tylko te proste, jak o lordzie C. autorstwa samego Byrona*, ale i na przykład Marka Twaina parodię rymowanej eulogii wygłaszanej nad grobem” (17 III 1998).

Wyłowiłam. Za arcydzieło uznałam czterowiersz Bellocka. Już nie mam wyrzutów sumienia, że do byle głupstwa wzywam fachowca.

Lord Finchley sam naprawiał prąd: po dwóch minutach
Został z niego zwęglony trup. I dobrze mu tak!
Rola ludzi zamożnych na społecznej scenie
Jest dawać rzemieślnikom płatne zatrudnienie.

Za pocieszający uznałam też fakt, że pewnym ludzkim słabościom żadne granice, różnice kulturowe czy ustrojowe nie stawiają tam

Nagrobek kelnera
Zniecierpliwiony tym, że wzrokiem Go unika,
Bóg przywołał go wreszcie do swego stolika.

* Tu spoczywa lord C. Nam, w żałobie,
Nie wypada wręcz uczcić go podlej
Niż wezwaniem wyrytym na grobie:
„przechodniu, stań i *****”.